

# Hrabyk, Klaudiusz

---

## "Sprawa Polska" w Nowym Jorku (1951-1955)

---

Kwartalnik Historii Prasy Polskiej 24/2, 67-79

---

1985-1986

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

KLAUDIUSZ HRABYK

„SPRAWA POLSKA” W NOWYM JORKU (1951—1955)<sup>1</sup>

Do Bostonu jako docelowego portu amerykańskiego, do którego z Bremenhafen zdążył nasz statek wiozący kilkuset Polaków z Niemiec do Stanów Zjednoczonych (tzw. DP <Dipisów>, tj. wysiedleńców z okupacyjnych stref w Niemczech zachodnich, nie posiadających stałego miejsca zamieszkania), zawinęliśmy w ostatnich dniach września 1949 r. Z Bostonu pociągiem skierowano mnie z żoną do Miami na Florydzie, dokąd zaprosił nas mój kuzyn.

Od pierwszej chwili nie zaniedbałem prób nawiązania łączności z prasą polonijną. Już w połowie października, w dwa tygodnie po przyjeździe do Miami, na łamach nowojorskiego „Nowego Świata” ukazał się mój pierwszy w USA artykuł pt. *Do waszych sumień*, zwracający uwagę Polonii amerykańskiej na problem przybywających do Stanów uchodźców polskich i obowiązki moralno-społeczne ciążyące wobec nich na środowisku polonijnym. Apelowałem o sprowadzanie Polaków pozostałych w Niemczech.

Równocześnie zwróciłem się do detroickiego „Dziennika Polskiego” z propozycją nawiązania z nim współpracy. Nie poszło to gładko. W połowie października 1949 r. otrzymałem list od redaktora naczelnego tego pisma J. Ostrowskiego, że przyjęto dwa moje artykuły po 10 dol. za każdy. „Na razie — czytałem w liście — możemy przyjąć tylko dwa artykuły na miesiąc i proszę je przysyłać w takiej ilości”. W praktyce nie dawało to żadnego oparcia i nie oznaczało współpracy. Ten stan trwał przez wiele miesięcy, aż do wiosny następnego roku. Później podwyższono mi ilość artykułów do 6 miesięcznie. W dalszych latach, do roku 1956, stałem się stałym, codziennym publicystą tego dziennika.

W Miami poznałem Kazimierza Dąbskiego, b. właściciela majątku pod Tarnowem, hrabiego, ale całkowicie zdeklasowanego i w tej deklasacji nawet zdegenerowanego. Dąbski w czasie wojny był przez dłuższy czas redaktorem naczelnym nowojorskiego „Nowego Świata”, brał czynny udział w akcjach politycznych obozu piłsudczyków na terenie amerykańskim i miał się za publicystę. Kiedy przybyłem do Miami, przebywał już od niedawna na emeryturze jako ciężko chory na serce, zwolniony z „Nowego Świata”, gdzie go zastąpił Ignacy Morawski. Dąbski żył bardzo skromnie, kupił na rozległe raty nędzny domek, a nawet używane, sterane auto; były to żalosne blaski pokrywające skrajny niedostatek i zamykające bilans wieloletniego pobytu Dąbskiego w USA. Przed wojną uchodził w Polsce za „czerwonego hrabiego” i nie cieszył się uznaniem w kołach ziemiaństwa i arystokracji. Żona Dąbskiego, Maria, b. guwernantka w jego przedwojennym domu, pracowała ciężko w fabryce sukien damskich, aby zarobić na elementarne potrzeby swoje i męża. On sam nie pracował, osłabiony chorobą. Zbliżyliśmy się towarzysko i bywaliśmy w domu Dąbskich wspólnie z Ewą, ponieważ na tego

<sup>1</sup> Fragment ze Wspomnień autora złożonych w Bibliotece Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu.

rodzaju bezludziu polskim, jakim jest Miami, był to jedyny znany mi dom, w którym mogłem pomówić normalnie na różne bardziej ciekawe tematy, zamiast wysłuchiwać amerykańskich gości mego kuzyna rozprawiających bez przerwy o businessach. Żona Dąbskiego użyczyła Ewie bardzo życzliwej pomocy przy znalezieniu pracy. Dąbski był miłym, pogodnym i inteligentnym partnerem, który lnął do mnie i cieszył się naszym towarzystwem.

Stanowił jednak typowy okaz przybysza z Polski, który zrobił wszystko, aby pozbyć się „piętna” europejskiego i dostosować ściśle do środowiska nie tyle amerykańskiego, ile polonijnego ze wszystkimi jego cechami prymitywizmu, przesądów i mentalności chłopsko-małomieszczańskiej starego stylu. Dąbski uważał się za znawcę problemu Polonii, pojmował go jednak wyłącznie od strony tradycji, obyczajów i nawyków polonijnych, nie uwzględniających już ściśle polskiego punktu widzenia, a raczej uwzględniających go wedle reguł obowiązujących w poglądach i światopoglądzie starej Polonii.

Po jakimś czasie, kiedy byłem już w Nowym Jorku, Dąbski podjął próbę powrotu do pracy, aby ratować katastrofalny stan swoich finansów, i w tym celu zaangażował się w Buffalo u tamtejszego potentata polonijnego, właściciela wówczas stacji radiowej. Był to typowy amerykański businessman, podobno dawniej śpiewak estradowy, który oprócz stacji radiowej posiadał m.in. również tawernę w Buffalo. W tej to speluncie wyznaczył on Dąbskiemu pracę kierownika sali, powołanego do likwidowania różnych incydentów wynikających wśród klientów po nadużyciu alkoholu. Zajęcie było nie tylko upadłające, ale ponad siły Dąbskiego. Otrzymywał za to nędzne uposażenie i posiłki nocne (pracował wyłącznie w nocy) oraz miał prawo do wypoczynku w małej kłitce mieszczącej się nad tawerną. Na tle tej całej atmosfery rysował mi się jako symbol smutnej degradacji, przerażającej absolutną bezradnością nieszczęsnej ofiary. Mógł oczywiście rzec się tej pracy, ale to oznaczało powrót do Miami. W końcu jednak odszedł, sam mi mówiąc, że dłużej nie może utrzymywać się w roli upokarzającej godność człowieka. Nie tylko bowiem musiał zadawać się z mętami społecznymi, ale poza tym znosił brutalne metody swego szefa, który nie szczędził mu niczego, aby wykazać swoją przewagę i maniery wzbogaconego prostaka. Nawet dla zaaklimatyzowanego Dąbskiego było to nie do zniesienia.

Za jego to pośrednictwem nawiązałem w Miami kontakt z Heleną Barową, była nauczycielką pochodzącą z Dębicy, emigrantką z dawnych lat i wdową po restauratorze z Buffalo, z którym przeniosła się do Miami i tu kupiła dom apartamentowy, wynajmowany kilku samotnym osobom. Stanowiło to po śmierci męża podstawę jej utrzymania. Barowa ciężko sama pracowała, sprząając dom i wynajmowane pokoje. Chcąc w jakiś sposób przysłużyć się sprawie polskich uchodźców, wdowa po buffalowskim restauratorze zgodziła się gościnnie przyjąć nas dwoje do siebie, dać nam utrzymanie i w ten sposób rozwiązać niełatwy nasz problem po opuszczeniu domu kuzyna, który nam pewnego dnia po prostu wymówił. Wkrótce, bo już z końcem października, zamieszkaliśmy w pokoju Barowej, która okazała bardzo wiele serdeczności i serca, skarbiąc sobie wielką i szczerą naszą wdzięczność. Po moim odejściu z Miami na prośbę Ewy Barowa zgodziła się pobierać od niej za utrzymanie i mieszkanie po 1 dol. dziennie, co miało oczywiście znaczenie tylko symboliczne.

U Barowej nie przebywałem długo. Po niespełna dwóch tygodniach pewnego wieczoru odezwał się telefon i zgłosił się Henryk Floyar-Rajchman, który zaprosił mnie do Nowego Jorku, polecając przyjechać najbliższym pociągiem. Nie miałem jednak ani centa na wykupienie biletu. Mój kuzyn odmówił mi pożyczki kilkudziesięciu dolarów, ale z opresji uratowała mnie znowu Barowa, wykupując mi bilet w formie pożyczki. Ewa pozostała na razie w Miami. Był sam początek listopada 1949 r.

Przedtem, w ostatnich dniach października, otrzymałem od Rajchmana obszerny list, w którym napisał, że rozważył i porobił różne „przymiarki” do projektów wyłuszczonej przeze mnie w listach wysyłanych do niego po przybyciu do USA, ale nie zdołał nic skonstruować w dziedzinie praktycznej celem umożliwienia mi przyjazdu do Nowego Jorku. Sprawę mojej z nim współpracy uznał z „wielu powodów” za potrzebną i pilną. Tymczasem zalecał mi kontynuowanie współpracy z detroickim „Dziennikiem Polskim” przy pomocy zarządcy pisma J. Zambrzyckiego (o wydawcy i właścicielu pisma, Januszewskim, Rajchman nawet nie wspomniał) i przesyłanie mu dwu artykułów tygodniowo — bez poruszania sprawy wynagrodzenia. Przewidywał, że w przyszłości może powstać z tego perspektywa materialnego ekwiwalentu. Nie doradzał podtrzymywania kontaktu z Radą Polonii Amerykańskiej, która nie rozporządzała własną prasą. Zalecił mi także kontakt z tygodnikiem „Ameryka-Echo”. Połowę listu poświęcił Rajchman sprawie pisma projektowanego w moich listach do niego, które to plany od pierwszej chwili omawiałem z Dąbskim w Miami. W jego relacji istniały możliwości powołania pisma w oparciu o pieniądze polonijne zebrane na Florydzie. Rajchman w liście nie podzielał tego optymizmu; aczkolwiek nie odrzucał idei pisma, zalecał dużą ostrożność, a nade wszystko zapewnienie podstaw finansowych. Wyraźnie nie chciał, abym zdołał utworzyć pismo w Miami, i wołał tę inicjatywę przenieść do Nowego Jorku. Napisał mi wówczas, że jest przeciwny temu, „aby w obecnych warunkach Pana nazwisko łączyć z inicjatywą, która może się szybko załamać lub skończyć fiaskiem nie dającym się zapobiec na terenie odległego bardzo desantu. Używam określenia desant, ponieważ sam Pan Redaktor określa tak omawianą inicjatywę”. Ta życziwa uwaga znacznie mnie, oczywiście, zreflektowała w planach dotyczących pisma omawianego z Dąbskim, ponieważ opinię otrzymałem ze strony od dawna w USA przebywającego człowieka, którego co prawda poza korespondencją na razie nie znałem. Sądzę jednak także dzisiaj, że opinia Rajchmana w tej sprawie była uzasadniona i słuszna. W dalszym ciągu listu Rajchman nie obiecywał mi zabezpieczenia finansowego ze strony KNAPP<sup>2</sup> po moim ewentualnym przybyciu do Nowego Jorku. Poruszył nawet sprawę sfinansowania przez Polonię na Florydzie samego mego przyjazdu do metropolii. Do dzisiaj nie wiem, jak to sobie wyobrażał, aby ktokolwiek z Polonii florydzkiej finansował bezinteresownie moje wojaże. Pochwalił pierwsze moje artykuły w „Dzienniku Polskim”, pisząc, że „przerwały bezkarności szelmowskich łamańców nowojorskiego »Nowego Świata« i Yollesa. Polemika z Yollesem jest zawsze zbyt wielkim honorem dla tej kanalii”. Niezwykle wyrażał się także o Ignacym Morawskim.

Yolles był starym emigrantem pochodzenia żydowskiego (wywodził się z Kolumbii) i w ciągu wielu lat uzyskał zupełnie wyjątkową pozycję jako stały felietonista i publicysta „Nowego Świata”. Był na pewno nie najgorszym publicystą, aczkolwiek znacznie przecenianym, holdował różnym koncepcjom własnego chowu, które rozwijał na łamach nowojorskiego organu. Zdawał się być pozycją nienaruszalną, ponieważ w masach polonijnych cieszył się znaczną popularnością, autorytetem oraz posłuchem, natomiast miał zawziętych przeciwników w kołach zarówno polonijnych „politykierów”, jak działaczy politycznych nowej emigracji, wśród nich Matuszewskiego i Rajchmana. Yolles był samoukiem. Próbował nie-

---

<sup>2</sup> Komitet Narodowy Amerykanów Polskiego Pochodzenia (KNAPP) — organizacja pilsudczykowska utworzona przez Ignacego Matuszewskiego, Henryka Floyar-Rajchmana i Wacława Jędrzejewicza, przy współdziałaniu b. członków KON (Komitet Obrony Narodowej), w okresie I wojny stanowiącego bazę akcji J. Pilsudskiego na terenie USA. W 1949 r. i w latach następnych KNAPP przeżywał ciężki kryzys i znajdował się w końcowym etapie swojej żywej poprzednio działalności politycznej. Patronem i właścicielem inspiratorem KNAPP w tym czasie był Rajchman (po śmierci Matuszewskiego).

fortunnie kariery nawet jako powieściopisarz i wygrywał zgrabnie różne sentymenty Polonii nowojorskiej, nieraz skutecznie szachując plany działaczy nowej emigracji. Był w następstwie tego postacią kontrowersyjną i nieodgadniętą. Pozostawałem przez kilka lat w ostrej z nim walce, aż w końcu zetknęliśmy się w jego odludnym domku nad brzegiem oceanu i odbyliśmy długą, ciekawą dla mnie rozmowę, w której przekonałem się, że Yolles reprezentuje realistyczny punkt widzenia, bardzo zbliżony do mojego, i spogląda krytycznie na tzw. linię polityczną emigracji, upatrując — chociaż nie dawał temu wyrazu publicznego — szansę polityki emigracyjnej w zbliżeniu do Polski.

List Rajchmana nie stwarzał podstaw do optymizmu dla moich losów. Tym większym zaskoczeniem był jego telefon wzywający mnie pospiesznie do Nowego Jorku.

Zanim jednak otrzymałem list i wezwanie, nawiązałem korespondencję także z Janem Wszelakim z Waszyngtonu, byłym dyplomatą polskim z okresu przedwojennego, którego uprzedzono o moim przyjeździe do USA. Wszelaki, któremu zasygnalizowałem moje przybycie do Stanów Zjednoczonych, napisał do mnie kilka listów, w których rozwinął swoje poglądy na temat moich spraw. Przede wszystkim zalecał, abym opanował język angielski, co nie było zadaniem łatwym. Nigdy nie zdradzałem szczególnych zdolności lingwistycznych. W drugiej połowie października, a więc zaledwie w trzy tygodnie po moim przyjeździe do USA, Wszelaki poinformował mnie o powołaniu do życia Komitetu Wolnej Europy, o którym pisał, że ma „jakieś niejasne plany założenia jakiegoś biura studiów i informacji o obecnej Polsce na podstawie gazet i radia”, ale do współpracy w tej dziedzinie potrzebna była właśnie angielszczyzna. Wobec niewyjaśnionych planów owego Komitetu Wolnej Europy, dopiero wtedy uruchomionego przez Amerykanów, Wszelaki pisał: „Rozumie Pan, do jakiego stopnia jest to tentatywne i niepewne i jak mi trudno brać odpowiedzialność za dawanie rady Panu”. Mimo to doradził, abym napisał list do Mr. Johna Morrisona z Chevy Chase Md., zawiadamiając go, że jestem „doświadczonym dziennikarzem”, że niedawno wyjechałem z Polski, uczę się angielskiego i chciałbym z nim pracować. Sugerował, abym w liście dodał swój tytuł naukowy, „bo tu — jak się wyraził — są na to wrażliwi”. „Morrison — pisał Wszelaki do mnie — jest szefem małego biura NCFE w Waszyngtonie i ma ambicję je rozbudować; poza tym jest to łatwy, przyzwoity człowiek, mało podobny do speców od emigrantów, którzy przeważnie są »dwojkarzami«, tj. pracownikami wywiadu amerykańskiego”.

Rozglądałem się dość niecierpliwie za pracą, aby uzyskać choćby minimalne podstawy do życia, i to na gruncie tak zupełnie mi wtedy obcym, jak amerykański. Po dłuższym namyśle w połowie listopada, będąc już w Nowym Jorku i zasięgnąwszy języka u Rajchmana, napisałem list do Morrisona, na który mi odpowiedział, zawiadamiając, że list mój skierował do wiceprezesa i sekretarza owego tajemniczego Komitetu Wolnej Europy — Frederica R. Dolbeare'a. Kilkanaście dni później otrzymałem jednak kolejny list od Wszelakiego, w którym poinformował mnie o dwóch sprawach: o ataku prowadzonym przeciwko mnie przez koła żydowskie w USA oraz o losach mojej sprawy w NCFE. Wszelaki pisał: „Zapewne wie Pan, że jest w drodze przeciwko Panu poważna akcja ze strony żydowskiej, przypuszczalnie jako pośredni skutek Pańskich artykułów w Detroit [w „Dzienniku Polskim”] przeciw Mikołajczykowi i partiom. Jacyś kongresmani, zapewne nowojorscy, mają pretensję do prezesa Komisji Imigracyjnej dla spraw DP'a Carusiego o wpuszczenie Pana do Ameryki, powiadamiają, że jest to dowód, że *screening*<sup>3</sup> jest niewystarczający, i grożą, że postawią Carusiego w stan oskarżenia

<sup>3</sup> Badania kandydata na wyjazd do USA przed tym wyjazdem, obejmujące najbardziej szczegółowe dane, z gruntownym badaniem politycznej postawy.

[tzw. *impeachment*]. Powiadają oni, że Pańskie nazwisko figuruje w raporcie Morgenthaua<sup>4</sup> o pogromach w Polsce, że organizował Pan we Lwowie pogrom, że jest Pan wciąż czynnym antysemitą etc. Nie mam i trudno mi mieć ścisłe wiadomości na ten temat, ale sprawa jest aktualna. Poza tym, że jest tu w Ameryce szereg dziennikarzy polsko-żydowskich, mających dostęp do wielu miejsc, sądzę, że agitacja ta wychodzi także ze sfer polskich i mam nawet pewne konkretne przypuszczenia na ten temat, ale nie mógłbym ich udowodnić. Jest zupełnie jasne, że akcja przeciw Panu już doszła albo lada dzień dojdzie do NCFE. Musi Pan być przygotowany na zarzuty i gotów do polemiki i wyjaśnień. Sądzę, że gdyby doszła do skutku Pańska współpraca z NCFE, musiałby Pan przerwać albo ograniczyć co do tematu swoją działalność publicystyczną, co najmniej w Ameryce. Niech Pan poradzi się z moim listem w ręku p. Rajchmana, który ma wielkie doświadczenie w takich sprawach”.

Oprócz tej informacji list Wszelakiego zawierał interesujące szczegóły dotyczące moich perspektyw w NCFE. Na ten temat pisał: „Z prof. Morrisonem była mowa o tym, że na wypadek powstania w Waszyngtonie, a z biegiem czasu raczej w New Yorku, grupy osób zajmujących się zbieraniem materiałów (studium prasy i radia w Polsce etc.) dla mającego powstać polskiego działu radiowego w NCFE, mógłby Pan być tam jednym z dwóch tzw. analistów politycznych. Kierownictwo tego małego biura [składającego się] z pięciu osób ofiarowano, o ile wiem, dwu osobom, które nie przyjęły tej oferty, m.in. p. Lerskiemu. Natomiast p. Lerska jest już zatrudniona w Waszyngtonie w charakterze przygotowawczym: czyta prasę i podsłuch radiowy. Według Morrisona, ta czy inna orientacja polityczna osobista członków projektowanego biura nie stałaby na przeszkodzie ich zatrudnieniu, pod warunkiem że reprezentowane byłyby różne poglądy. Gdyby doszło do Pańskiej rozmowy z Dolbearem, akcentowałbym Pańską dawną walkę z komunizmem, bo o to głównie chodzi. Zwracam uwagę, że [Dolbeare] jest, Bóg raczy wiedzieć dlaczego, wielkim przeciwnikiem »reakcyjnego Londynu« (sam jest konserwatystą), o którym zresztą bardzo mało wie”.

Informacje zatem były dość obfite, dotykając nawet niektórych dyskretnych szczegółów, jak wskazówki dotyczącej zamilowania w walce z komunizmem, poglądów politycznych p. Dolbeare’a i jego awersji do polskiego Londynu. Ale mimo to wszystko list Wszelakiego wywołał u mnie natychmiastową, zdecydowaną reakcję w zupełnie odmiennym kierunku, niż by mógł się domyślać sam Wszelaki.

Poruszyłem się do głębi sugestią w sprawie ograniczenia, czy nawet zlikwidowania mojej działalności publicystycznej, co ujawniło niedwuznaczną tendencję do zakładania mi na samym wstępie cugli, zanim w ogóle znalazłem się w zaprzęgu. To zupełnie wystarczyło i zorientowało dostatecznie w sytuacji.

Nie byłem zaskoczony przekazaną mi informacją Wszelakiego w sprawie żydowskiej, ponieważ kilka dni przedtem również Rajchman opowiedział mi o akcji Żydów, czy raczej nowojorskich syjonistów, wymierzonej przeciw mojej osobie, wymieniając te same zarzuty, które czytałem w liście Wszelakiego. Było więc już

<sup>4</sup> Przewodniczący komisji amerykańskiej czynnej w Polsce bezpośrednio po I wojnie i badającej sytuację Żydów w Polsce. Kiedy we wrześniu 1949 r., tuż przed wejściem na statek w Bremenhafen, którym mieliśmy płynąć do Bostonu, stanąłem po raz ostatni przed amerykańskim oficerem screeningowym pochodzenia żydowskiego i na jego pytanie oświadczyłem, że byłem oficerem Armii Krajowej w czasie II wojny, oficer amerykański powiedział do mnie:

— To znaczy, że ty także mordowałeś Żydów w Polsce.

Wzburzony tą prowokacją oświadczyłem:

— Ani Armia Krajowa, ani ja nie mordowaliśmy Żydów, ale broniliśmy i chroniliśmy ich przed hitlerowcami. Powinien Pan to wiedzieć, skoro bada Pan naszą przeszłość.

Oficer amerykański nie podjął już dalszej dyskusji w tej sprawie.

rzeczą oczywistą, że nie mam do czynienia z plotkami, ale z faktem, wobec którego trzeba się ustosunkować. Oświadczyłem Rajchmanowi, że będąc przed wojną rzeczywiście działaczem obozu endeckiego, zajmowałem stanowisko antyżydowskie, o czym zresztą Rajchman doskonale wiedział, ale nie słyszałem nigdy w ciągu całego mego życia o tym, abym figurował w raporcie Morgenthaua, czynnego na terenie Polski w r. 1918 czy 1919, kiedy liczyłem lat dopiero 16 i 17, i w tym czasie nie przebywałem w ogóle we Lwowie, ponieważ kończyłem wówczas gimnazjum w Przemyślu i jako przemyski uczeń nie mogłem być organizatorem lwowskich pogromów wymienionych przez Morgenthaua w jego raporcie. Oświadczyłem również, że jeżeli syjoniści mają jakiegokolwiek przeciw mnie dowody tego typu, chętnie je rozpatrzę, ale pod żadnym warunkiem nie uczynię ani jednego kroku, który miałyby zdążyć do samorzutnego tłumaczenia się przeze mnie z zarzutów sformułowanych w obecnej formie: bezczelnych, całkowicie zmyślonych i z gruntu kłamliwych. Rajchman podzielił moje stanowisko, a kiedy nadszedł list od Wszelakiego, w tym samym dniu, 7 grudnia, odpisałem mu, oświadczając w tej sprawie:

„Z zainteresowaniem przeczytałem informacje przekazane mi przez Pana na temat mojej osoby i gotującej się jakoby kampanii i z pełnym zaufaniem pokazałem list p. Rajchmanowi, za pośrednictwem którego list do mnie doszedł. P. Rajchman [nawiasem mówiąc, pochodzenia żydowskiego — przyp. mój] oświadczył mi, że informacje są w całości nieprawdziwe i nieścisłe i że domyśla się on ich inspiratorów, a w najbliższym czasie postara się ich ustalić. Ze swej strony również pragnę powiedzieć, że zawierają one zupełnie fantastyczne wymysły, które z mojej strony nie wymagają żadnych wyjaśnień, gdyż ubliżałoby mi to jako b. oficerowi Armii Krajowej w Podziemiu polskim, który przez pięć lat walczył z hitlerowskimi Niemcami. Co do sprawy NCFE — napisałem w tym liście — to od pierwszej chwili, od kiedy powiadomiono mnie z Londynu bez mojej inicjatywy, że zostałem zgłoszony na listę kandydatów, uważałem i nadal uważam, że współpraca z NCFE nigdy i w najmniejszej formie, i pod żadnym pozorem nie mogłaby ograniczać mnie w żadnej działalności politycznej ani publicystycznej ani w USA, ani na innym terenie i jest to zasadniczy warunek, bez którego nie mogłoby być żadnej mowy o moim kontakcie z tą instytucją. Tym bardziej nie może być nigdy mowy o tym, abym odpierał wobec NCFE jakiegokolwiek zarzuty lub wchodził w jakąś polemikę na temat mojej osoby. Jestem gotów do ofiarowania moich umiejętności, znajomości problemu i moich sił na rzecz pracy prowadzonej przez NCFE wyłącznie na zasadzie wzajemnego zaufania, jakim w tym wypadku darzyłbym tę szanowną instytucję i którego rygorystycznie wymagałbym od niej w stosunku do siebie. Gdyby rzeczy miały się rzeczywiście inaczej układać, mój udział w NCFE jest nieaktualny. Sądzę, że to sformułowanie mego stanowiska pozwoli Panu zorientować się w dalszych losach tej sprawy, która — jak rozumiem — jest nie tylko interesem moim czy naszym w stosunku do kół amerykańskich, ale co najmniej w równym stopniu interesem amerykańskim w odniesieniu do nas”. Na zakończenie dodałem, aby sprawę mego listu do p. Morrisona i w ogóle współpracy z Komitetem uważać za nieaktualną i niebyłą.

Na tym liście zakończył się mój krótkotrwały i epizodyczny kontakt z NCFE i zamknęła się definitywnie sprawa mojej nigdy nie rozpoczętej z nim współpracy, czy choćby konkretnych rozmów na jej temat; dla mnie charakter i rola Komitetu Wolnej Europy stały się jasne i oczywiste. Przyczyniło się to do ustalenia mego w tej dziedzinie nie tylko poglądu, ale także czynnego stanowiska wobec tej agenturalnej instytucji.

Nie doczekała się także dalszego ciągu sprawa „zarzutów” syjonistycznych. Nikt nigdy w ciągu dziesięciu lat mego pobytu w USA nie podjął więcej i nie kontynuował tej sprawy. W mojej działalności publicznej na terenie amerykańskim

zyskałem sobie wielu przyjaciół, zwolenników i nawet sojuszników ze sfer żydowskich. Prawdopodobnie próba podjęta na samym wstępie mojej „amerykańskiej kariery” była rzeczywiście inicjatywą niechętnych czy wrogich mi politycznych kół polskich na terenie amerykańskim, które chcąc mnie unieszkodliwić podsunęły syjonistycznym kołom w Nowym Jorku zmyślone przeciw mnie zarzuty, ale kiedy przyszło do dostarczenia dowodów, sprawa automatycznie upadła. W ten sposób minąłem pierwsze rafa na gruncie amerykańskim, unikając powiązania się z Komitetem Wolnej Europy, co w dalszym okresie posiadało dla mnie zupełnie zasadnicze i pozytywne znaczenie, oraz ominąłem również zasadzkę zastawioną przez niechętne mi koła polskie czy amerykańsko-żydowskie. Mój incydentalny kontakt z Janem Wszelakiem zakończył się wtedy na tych dwu sprawach i nie pozostawałem z nim już w żadnych dalszych powiązaniach. Obie jednak sprawy stały się dla mnie pierwszymi znacznej wartości doświadczeniami na odcinku politycznej dżungli amerykańskiej i polonijnej. Oba doświadczenia wielu spraw z tej dżungli mnie nauczyły i oba mnie także zahartowały. Stąd ich bilans stał się dla mnie jak najbardziej dodatni.

Na terenie Stanów Zjednoczonych rozwinąłem niebawem akcję przeciw Wolnej Europie, jako ośrodkowi obcej dyspozycji usiłującemu kierować sprawą polską, jak również przeciwstawiłem się współpracy z tą instytucją jako służbie na usługach obcej agentury. Rozwijalem w tej sprawie kampanię na łamach głównie „Dziennika Polskiego”. Byłem wtedy i później jedynym dziennikarzem polskim w USA, który systematycznie, niezmiennie i jawnie prowadził stałą publiczną akcję przeciw penetracji Wolnej Europy i jej dywersyjnej robocie wykonywanej przez funkcjonariuszy polskiego pochodzenia. Zapisalem się dlatego jak najgorzej w pamięci tych ludzi.

Pewnego razu w 1952 lub 1953 r. podjęto próbę, aby uchwycić mnie w sidła. Zaproponowano mi mianowicie w Nowym Jorku udział w dyskusji „przy okrągłym stole” przed mikrofonem; w audycji miałem reprezentować stanowisko sprzeczne z wersją oficjalną (Wolnej Europy). Nie pamiętam już tematu, ale był kontrowersyjny. Zgodziłem się uczestniczyć w tym charakterze, udział w dyskusji przyjąłem, a kiedy po jej odbyciu wręczono mi czek za uczestnictwo, bezzwłocznie przekazałem go w całości na rzecz jednej z instytucji społecznych w Nowym Jorku i pokwitowanie przesłałem do kasy Wolnej Europy. Więcej mi wobec tego nie proponowano udziału w imprezach „wolnoeuropejskich”, uznając widocznie, że jest to bezcelowe, aby uwikłać mnie w zasięg jej wpływu.

Natomiast podjęta była później, bo w 1955 r., jeszcze jedna inna próba co najmniej ułagodzenia mojego stanowiska. Niespodziewanie otrzymałem list od niezanego mi oświście Jana Nowaka-Jeziorańskiego, kierownika rozgłośni Radia Wolnej Europy w Monachium, datowany 25 kwietnia 1955 r. List brzmiał, jak następuje: „Szanowny Panie Doktorze. Od kilku dni przebywam w New Yorku i pragnąlbym skorzystać z tej okazji, aby przedstawić Panu mój punkt widzenia na szereg zagadnień poruszanych przez Pana na łamach prasy. Wiem, że tyłokrotnie byłem w przeszłości przedmiotem ostrej krytyki z Pana strony, ale nie miałem nigdy powodu do kwestionowania Pana dobrej woli i wiary w słuszność swoich przekonań. Jeżeli zatem uważa Pan spotkanie takie za celowe, proszę uprzejmie o odpowiedź telefoniczną lub listowną. Mój adres prywatny: Salisbury Hotel, 123 West 57 Street, New York tel. Circle 6-1300 ext. 805; tel. biur. 7-7600 ext. 149. Liczyłbym oczywiście na to, że rozmowa nasza miałaby charakter poufny. Łączę wyrazy prawdziwego szacunku i poważania — Jan Nowak”.

Postanowiłem pójść na to spotkanie, zawsze hołdując zasadzie, że należy rozmawiać nawet z największym przeciwnikiem.

Ze spotkania z Janem Nowakiem przesłałem bezzwłocznie dokładną pisemną relację gen. Sosnkowskiemu w liście z 1 maja 1955 r. Po scharakteryzowaniu No-



waka, pisałem: „W czasie rozmowy Nowak zapytał mnie, czy ze względów zasadniczych nie widziałbym dla siebie możliwości współpracy z Wolną Europą. Odpowiedziałem mu, że nie widzę [takiej możliwości] dlatego, ponieważ sądzę, że powinien istnieć chociaż jeden człowiek czy czynnik polski, który wolny od zależności od Amerykanów zachowa sobie warunki krytyki wobec tego, co się dzieje. Powiedziałem również, że za idealny stan rzeczy uznać by należało, gdyby ten czynnik mógł rozwijać swoją działalność krytyczną wobec Wolnej Europy, jak w ogóle wobec stanowiska amerykańskiego, w cichym porozumieniu z tą częścią Polaków, którzy współdziałają z Wolną Europą, i gdyby tak podzielone role mogły prowadzić do pomyślniejszych rezultatów dla sprawy polskiej. Można by wtedy uniknąć tego rodzaju wypadków, jak z »balonikami«<sup>5</sup>, a także w wielu innych sprawach. Zwróciłem mu uwagę na niemożliwą atmosferę w polskim oddziale Wolnej Europy w Nowym Jorku, gdzie postawa Polaków mieści się między służalstwem a oportunizmem i gdzie trzeba wyprostować Polakom karki. Na to Nowak mi oświadczył, że sprowadza [z Madrytu] Wagnera i jest przekonany, że on dokona zmiany tej atmosfery”.

Rozmowa z Nowakiem nie dała żadnego rezultatu, przynajmniej dla mnie, czego dowodem był drugi list do mnie, z datą 6 czerwca 1955 r., następującej treści: „Chciałem zaproponować Panu jeszcze jedno spotkanie przed moim wyjazdem z Nowego Jorku, aby kontynuować poprzednie rozmowy. Niestety, w nawałe zajęć nie zdążyłem już tego zrobić. Przypuszczam, że powrócę do Nowego Jorku w końcu lipca lub z początkiem sierpnia i wówczas nie omieszkać się z Panem skomunikować”.

Nie pamiętam już dzisiaj, czy odbyło się spotkanie na ponowne zaproszenie z dnia 6 czerwca, natomiast do dalszych spotkań w lipcu czy w sierpniu i później już nie doszło. W pierwszych dniach września 1955 r. ogłosiłem w „Nowym Świecie” artykuł *16 lat po Wrześniu*, który J. Nowakowi nie mógł pozostawiać żadnych złudzeń co do mojego stanowiska. Wypowiedziałem się wtedy kategorycznie za zmianą stosunku emigracji do kraju. Wszedłem wyraźnie na inną drogę, która dla J. Nowaka była wykluczona ze względu na jego powiązania z amerykańskimi mocodawcami.

\*

Poza nielicznymi wyjątkami nowi przybysze z Polski nie uzyskali współuczestnictwa w rządach życiem społecznym Polonii amerykańskiej i musieli się zadowolić albo tylko członkostwem, albo w najlepszym razie funkcją doradców. W naczelnych władzach Kongresu Polonii Amerykańskiej nie zasiadł nigdy w tym czasie (lata pięćdziesiąte) ani jeden rzecznik tzw. nowej emigracji, nawet wtedy gdy przyjął obywatelstwo amerykańskie. Nie zyskał mimo to „obywatelstwa staropolskiego” i pozostawiano go na peryferiach dyspozycyjnych ośrodków społecznych Polonii.

Na tym tle zrodził się pęd do organizowania samodzielnych i odrębnych organizacji nowej emigracji. Tak powstało Stowarzyszenie Kombatantów Polskich obok tzw. SWAPP, tj. organizacji weteranów armii Hallera. Nigdy nie doszło do ich fuzji; chociaż weterani odwiecznym prawem coraz szybciej odchodzili ze świata,

<sup>5</sup> Akcja „balonikowa”, zorganizowana i sfinansowana przez Komitet Wolnej Europy przy czynnym współudziale niektórych współpracowników Radia Wolnej Europy pochodzenia polskiego, polegała na wypuszczaniu baloników w kierunku Polski, gdzie baloniki pękały i wypadały z nich stopy bibuły dywersyjnej przeznaczonej dla ludności Polski. Akcja ta nie dała jednak spodziewanych rezultatów: baloniki nie zawsze leciały w stronę Polski i nie zawsze nad nią pękały, a bibuła spadała na bezładne obszary. Wkrótce też akcji tej zaniechano.

ale nowym emigrantom władzy nie przekazywali. Tak również zorganizowano Instytut Naukowy z uczonych przybyłych do Ameryki z Polski, chociaż są w nim uczeni rekrutujący się już z Polonii amerykańskiej. Doszło nawet do tego, że powstały odrębne pensjonaty wypoczynkowe dla ludzi z nowej emigracji, w których nie zjawiali się nigdy goście z szeregów starej Polonii, korzystając z pensjonatów wyłącznie dla nich przeznaczonych, w których z kolei nie stanęła nigdy noga nowego emigranta. Ten podział czy rozdział obowiązywał również na zabawach towarzyskich, na których osobno bawiła się stara Polonia, a osobno nowa. Wyjątki w tej dziedzinie potwierdzały regułę. Istniały nieliczne styki, na których wzajemnie się tolerowano, a należały do nich na terenie Nowego Jorku Fundacja Kościuszkowska, Skarb Narodowy, wydział stanowy Kongresu i kilka innych ośrodków. Imprezy kulturalne organizowane przez ośrodki inteligencji nowoemigracyjnej nie znajdowały prawie echa wśród starej Polonii. Wieczory Lechonia, Wierzyńskiego, koncerty, wystawy obrazów — jako uczestników miały prawie wyłącznie „nową” emigrację.

Aby dotrzeć we wstępnym okresie do szerszej opinii publicznej, co najmniej Polonii, w takim kraju jak Stany Zjednoczone, nie ma innej drogi, jak uzyskanie trybuny prasowej, radiowej lub telewizyjnej. Najlepsza jednak jest trybuna prasowa ze względu na szersze możliwości oddziaływania powszechnego w całym kraju, a nie tylko lokalnego, jak np. przy pomocy tzw. godzin radiowych.

Godziny radiowe Polonii (jak zresztą także innych grup etnicznych) są ograniczone w czasie i w przestrzeni. Na wielkich stacjach radiowych należących do różnych amerykańskich spółek czy grup wynajmuje się określoną ilość czasu, najczęściej godzinę, opłacaną bardzo wysokimi taryfami, których pokrycie wymaga znacznej liczby ogłoszeń, również dobrze płatnych. Wśród tych ogłoszeń nieznaczna ilość czasu przypada na tekst poświęcony sprawom natury publicznej. Jeżeli zważyć, że do programu, aby go urozmaicić, musi wchodzić spora porcja muzyki, zresztą zawsze lekkiej (w polonijnych „godzinach” z reguły są to wyłącznie osławione „polki”), to na resztę programu pozostają zaledwie minuty, często sekundy. Mieszczą się w nich komunikaty, jakieś popularne pogadanki czy wzmianki, czasem wywiady radiowe itp. fragmenty programu, nie mające nigdy nic wspólnego z poważną treścią, a bodaj rzetelniejszą propagandą zagadnień kulturalnych, społecznych, oświatowych i innych, nie mówiąc o politycznych. Nie ma tu na nie w ogóle miejsca choćby ze względu na słuchaczy o różnych poglądach czy sympatiach albo takich, stanowiących większość, którzy polityką się nie interesują. Ponieważ słuchacze „godzin radiowych” są potencjalnymi klientami dostarczającymi ogłoszeń (niekoniecznie handlowych, ale także z różnych okazji, jak urodziny dziecka, śluby, pogrzeby i inna reklama czysto osobistych spraw takiego klienta), przeto — rzecz jasna — unikanie jakichkolwiek konfliktów z tego rodzaju odbiorcami jest zasadniczą dewizą właściciela „godziny”, stanowiącej dla niego nie tylko źródło utrzymania, ale ciułania bodaj skromnego majątku. W tych warunkach „godziny radiowe” tylko w bardzo ograniczonym stopniu mogą stanowić skuteczną bazę akcji politycznych opartych na określonych założeniach. O telewizji nie było nawet co marzyć, ponieważ koszt analogicznego wynajmowania „godziny” czy choćby „kwadransa” telewizyjnego przerastał możliwości finansowe nie tylko takich biedaków, jak nowo przybyli emigranci, ale nawet starej Polonii. Stąd prasa pozostawała praktycznie jedynym rozwiązaniem, aczkolwiek i w tej sprawie ostrzegano mnie, że wybieram się z motyką na słońce. W każdym razie nie spotkałem ani jednego człowieka przebywającego dłużej w USA i zaznajomionego z problematyką tego tematu, który wrzybyłby powodzenie dla nowego pisma. Przytaczano w tej sprawie argumenty oparte na doświadczeniu i obserwacji. Doświadczeniem był „Tygodnik Polski” wydawany podczas II wojny, a nawet niedługo jeszcze po niej, jako organ właśnie kół przybyłych w tym czasie z Polski do Stanów.

Pismo to było redagowane przez samego Jana Lechonia, przy współudziale takich piór, jak K. Wierzyński, I. Matuszewski i inni. Nie na wiele to się jednak przydało i pismo musiało w końcu upaść wskutek nadmiernego deficytu.

Aleksander Janta w swoich amerykańskich wspomnieniach z nieco wcześniejszego okresu tak o Lechoni, jako redaktorze „Tygodnika Polskiego”, napisał: „W Nowym Jorku ton podówczas [1944 rok] nadawał Lechoń, redagujący zapamiętałe i z przekonaniem o własnym politycznym zamyśle, którym przenika, rozwiązuje i rozumie amerykańską łamigłówkę, swój »Tygodnik Polski«. Lechoń był człowiekiem fascynującym, poetą trwale, a wysoko zapisanym w polskiej literaturze, ale bardzo złym redaktorem pisma. Miał przy tym nieuzasadnione przekonanie o wielkim znaczeniu uprawianej przez siebie publicystyki i o dalekosiężnej wizji historycznej, jaka z tej publicystyki miała przebijać. Czytane dzisiaj artykuły redakcyjne »Tygodnika Polskiego« są z gatunku odległych od rzeczywistości, choć niewątpliwie wcale pobożnych życzeń”.

Janta niesłusznie zwałił odpowiedzialność za wszystko, co napisano wtedy w „Tygodniku”, na Lechonia, ponieważ właściwym *spiritus movens* „mitycznej wiary w odwrócenie się karty” przy pomocy Opatrzności „po stronie dobrych Polaków” nie był nigdy dziecinny i naiwny politycznie Lechoń, ale przede wszystkim, wyłącznie Matuszewski, o którym Janta w swoich wspomnieniach bezpodstawnie pisze, że „trzeźwiej na pewno patrzył na powojenną rzeczywistość osiadły w Nowym Jorku Ignacy Matuszewski i jego grupa dawnych przedwrześniowych ministrów w oparciu na Polonii amerykańskiej”. Lechoń do tej grupy integralnie przecież jednak należał, pomimo że nie był przedtem ministrem, i redagował „Tygodnik” z jej ramienia, chociaż za pieniądze Polish Information Center, przedziwnej instytucji rządu londyńskiego rozrzutnie wydającej miliony na niepotrzebne akcje propagandowe. Te pieniądze — jeśli trzeba na ten temat powiedzieć całą prawdę — były istotną przyczyną, dla której „wizjoner” Lechoń trzymał się redakcji pisma, będąc niesłuchanie kosztownym redaktorem, nie uznającym kresu swych niewyczerpanych potrzeb bez dna. Nie znaczy to, że nie holdował określonym przekonaniom, którym dawał wyraz zgodnie z reminiscencjami Janty, ale podbudowa jego zapau i wrażliwości wywodziła swoje iskry również z zamiłowania do dużych sum pieniędzy. „Tygodnik Polski” w wojennym okresie mógł jeszcze podolać wymaganiom swojego redaktora. Z tym uzupełnieniem sylwetka Lechonia jako „polityka” czy „publicysty” jest zgodna z rysunkiem przekazanym przez Jantę. Za moich czasów Lechoń swoje potrzeby finansowe realizował już przy pomocy innych źródeł, ponieważ nie było ani PIC, ani również źródeł polonijnych, z których wcale obficie czerpała „grupa ministrów” wydająca ów „Tygodnik Polski”. Kosztowne wydatki tego pisma wydawanego na znakomitym luksusowym papierze, hojną ręką wypłacane honoraria i właśnie wysokie apanaże redaktora naczelnego nie stały się jedyną przyczyną upadku tygodnika. Decydującą rolę odegrało nagle zamknięcie źródła pieniędzy po cofnięciu uznania rządowi londyńskiemu. Ale przyczyną istotną był brak czytelników i prenumeratorów.

Sytuacja w tej dziedzinie nie zależy w USA ani od poziomu pisma, ani od jego kierunku, ale wypływa z prozaicznych motywów: Polonia amerykańska w zasadzie gazet nie czyta. Ci, którzy je czytają, są, po pierwsze, nieliczni, a po drugie tradycyjnie czytają już od dawna własne pisma polonijne i nakłanianie ich do zmiany gazety jest wysiłkiem z reguły beznadziejnym. Nie czyta się zresztą nie tylko gazet, ale także książek. Nakłady tych ostatnich są tak zawstydzająco niskie (mówię o polskich książkach), że nie oplaca się po prostu ich wydawanie. W całych Stanach Zjednoczonych sprzedanie wśród bądź co bądź kilkumilionowej Polonii kilkuset egzemplarzy książki polskiej jest osiągnięciem rekordowym, a w ogóle supersukcesem, ponieważ zazwyczaj można liczyć maksymalnie na sprzedaż 200—300 egzemplarzy. Wynika to z dość uzasadnionych powodów. Ci, którzy umieją

czytać po polsku, nie są zainteresowani czytaniem książek, ponieważ są to ludzie prości, nie zwyczajni czytania i nie mający na to ani czasu, ani ochoty. Inni po polsku nie rozumieją, wobec czego książek polskich czytać nie mogą. I na tym się zamyka zaczarowane koło tego tragicznego problemu. Po wojnie krąg potencjalnych czytelników polskich książek i gazet wzrósł się nieco w następstwie przybycia do USA pewnej, ale nie za wielkiej, ilości inteligencji polskiej, a w ogóle ludzi czytających książki, ale była to kropla w morzu rzeczywistej potrzeby w dziedzinie wzmocnienia rynku czytelniczego i polskich gazet.

Mimo tych argumentów i ostrzeżeń nie wyzbyłem się koncepcji powołania nowego pisma i uzyskałem sporą grupę jej zwolenników, oczywiście wśród nowo przybyłych. Zwolennikiem jej był także Wacław Jędrzejewicz, a więc jeden z tych emigrantów, którzy w USA przebywali dłużej od nas i byli świadkami niepowodzenia takich imprez. Natomiast Rajchman z motywów, o których już pisałem, był wyraźnie oporny, aczkolwiek pozornie przychylił się do planu i wyciągnął od Łodzieskiego nawet czek na 1 tys. dol. Pieniądze te jednak, zamiast na pismo, musieliśmy wkrótce przeznaczyć na pogrzeb Rajchmana, aby go po ludzku pochować.

Rajchman zmarł nagle w marcu 1951 r. Pogrzeb miał dosyć tłumny jak na jego zatargi za życia. Napisałem tekst przemówienia wygłoszonego nad jego grobem w imieniu KNAPP. Tak się zakończyło życie tego człowieka, przekonanego święcie, że w jego rękę spoczywają losy przyszłości Polski i emigracji. Umarł w nędzy, zabrakło środków nawet na jego pochowanie. Czek na 1 tys. dol. nadesłany był na krótko przedtem przez Stefana Łodzieskiego z Cleveland Ohio na fundusz projektowanego przeze mnie pisma. Łodzieski był człowiekiem prostym, ale bardzo bogatym, właścicielem wielkiej piekarni mechanicznej w Cleveland i kilkunastu sklepów piekarniczych w tym mieście. Z tego tytułu był prezesem Instytutu J. Piłsudskiego w Nowym Jorku. Pieniądze bowiem decydują w takim wypadku w USA o społecznej funkcji. Mistrzem w kreowaniu takich ludzi na mężów opatrnościowych był Rajchman, który ryzykował w tej dziedzinie wizje największych nawet awansów. M.in. zapowiedział wydawcy „Nowego Świata” Węgrzynkowi, za jego życia, że po wojnie zostanie na pewno prezydentem Polski. Rajchmanowi chodziło wtedy o zapewnienie sobie nieograniczonej lojalności Węgrzynka jako wydawcy pisma nowojorskiego dla kampanii Matuszewskiego przeciw Sikorskiemu. Awansowano także w podobny sposób Ignacego Nurkiewicza, wiceprezesa Kongresu Polonii Amerykańskiej, również fabrykanta średniej klasy, który z czasem wyzwoił się jednak spod wpływu Rajchmana i odmówił uczestniczenia w jego imprezach. Łodzieskiego, na pewno bardzo przyzwoitego człowieka i dobrego patriotę polskiego, ale o bardzo prymitywnej i ograniczonej umysłowości, awansował Rajchman na prezesa placówki o ambicjach naukowych, jaką był Instytut im. J. Piłsudskiego, i zrobił to tylko dlatego, ponieważ Łodzieski porządkował ogromną fortuną i można było go nakłaniać do znaczących dotacji na Instytut i działalność KNAPP. Łodzieski ulegał posłusznie tym zwodniczym manewrom. W późniejszym okresie, już po śmierci Rajchmana, rolę Łodzieskiego obciążono właściciela fabryki kielbas i wędlin Janiewicza, także długoletniego prezesa Instytutu J. Piłsudskiego.

Projekt pisma wysunąłem jeszcze za życia Rajchmana i przekonywałem go, że jest ono nieodzowne z punktu widzenia potrzeb naszej działalności politycznej. Skoro bowiem odpadł „Dziennik Polski”, a także „Nowy Świat”, który za życia Węgrzynka służył za organ propagandowy Matuszewskiemu, dalsza nasza inicjatywa polityczna bez własnego pisma stała się bezprzedmiotowa. Rajchman początkowo opierał się tej propozycji, ponieważ był nieufny w stosunku do wszystkiego, co nie miało znajdować się wyłącznie w jego rękach, a ja byłem przewidziany na

redaktora pisma. Zgodził się jednak w końcu gromadzić fundusze potrzebne na uruchomienie gazety.

Po śmierci Rajchmana sprawa w końcu ruszyła. Jeszcze w 1950 r. przygotowałem ogólny projekt pisma, motywując potrzebę jego powołania koniecznością istnienia „niezależnego organu myśli polskiej, aby nie stać się narzędziem cudzych inspiracji”. Pismo miało być przeznaczone głównie dla Polonii amerykańskiej, ale równoległe dla nowej emigracji, „która pisma takiego oczekuje”. Kolportaż — wedle tego planu — powinien był odbywać się także poza USA, a szczególnie w W. Brytanii. Pismo — pisałem w moim programie — „może liczyć na zainteresowanie także wśród emigracji innych narodowości, jak to wykazał przykład prasy polskiej w Niemczech (po wojnie), gdzie 25% czytelników prasy polskiej składało się z elementu niepolskiego”. Pismo winno być przeznaczone także dla politycznych kół amerykańskich. Planowałem nakład 15 do 20 tys. egz., co okazało się oczywistą fantazją, z której na wstępie nie zdawałem sobie sprawy. Numer miał obejmować 12—16 stron dużego formatu, pismo miało być ilustrowane, z 3—4 stronami tekstu angielskiego. Projektowałem korespondentów w Waszyngtonie, Londynie, Paryżu, Frankfurcie, Berlinie, Rzymie, Ankarze, Madrycie oraz udział pisarzy ze wszystkich dziedzin. Pismo miało być tygodnikiem. Założenia i plany były więc, jak widać, pomyślane może nie z największym rozmachem, odpowiadającym stylowi prasy w USA, ale w każdym razie na tyle szerokim i chyba trafnym, że mogło to i powinno było zachęcić do współudziału w założeniu pisma.

Już w dniu 8 kwietnia 1951 r., w kilkanaście dni po pogrzebie Rajchmana, odbyło się założycielskie, walne zebranie spółki zwołane do Bostonu, Mass. Dokonałiśmy wyboru władz spółki w następującym składzie: prezes — Stanisław Swoboda-Lubczyński w Lawrence, Mass.; skarbnik — Aleksander Jędruch w Haverhill, Mass.; sekretarz — Stefan Ziemiński Cambridge, Mass.; dyrektorowie, czyli po prostu członkowie zarządu: Ludwik Michałowski w Detroit Mich., Stanisław Śmietana w New Bedford, Mass., Antoni Nałęcz-Buczarski w Chicago, Ill., Edward Kleszczyński w Nowym Jorku, N.Y. Walne zebranie wyznaczyło mnie jednogłośnie na redaktora naczelnego pisma, którego tytuł brzmiał: „Sprawa Polska” („Polish Affairs”); administratorem został Stefan Ziemiński. Oznaczyliśmy wartość jednego udziału w spółce na 50 dol. Spółka nosiła nazwę: „Polska Spółka Wydawnicza”. W liście do przyszłych udziałowców pisaliśmy, że pismo będzie poświęcone sprawom politycznym, kulturalnym, społecznym i organizacyjnym, jeśli idzie o organizację Polonii. Polityczną platformę określaliśmy krótko: „sprawa walki o niepodległość Polski w oparciu o program utrzymania granicy na Odrze i Nysie na zachodzie i przywrócenie granic ryskich na wschodzie oraz o zasadę legalizmu polskiego”. W pierwszej fazie pismo miało być miesięcznikiem czy dwutygodnikiem, następnie dwutygodnikiem lub tygodnikiem, a w dalszej nawet dziennikiem. Udziały można było wpłacać nawet w pięciu ratach. Warto może dodać, że pierwsze walne zebranie spółki odbyło się w sali bostońskiego International Institute przy 190 Beacon St.

W wyniku naszej inicjatywy zwerbowałem 76 udziałowców, co oznaczało mniej, niż przewidywałem, ponieważ potrzebnych było co najmniej stu udziałowców, czyli 5 tys. dol., aby pismu zabezpieczyć funkcjonowanie w dłuższym okresie. Nie wszystkie udziały zostały w całości wpłacone, ponieważ operowaliśmy z tego tytułu sumą tylko 4128 dol. Mimo to pismo uruchomiliśmy i ukazywało się ono przez blisko trzy lata, do 1954 r. W dniu 7 maja 1955 r. w Roxbury, Mass. odbyło się likwidacyjne zebranie spółki, które przyjęło do wiadomości końcowe sprawozdanie za okres od 21 października 1950 r., kiedy zaczęliśmy zbierać udziały jeszcze przed powołaniem spółki, do 31 marca 1955 r. Bilans finansowy nie był pomyślny, ale nie najgorszy. Oprócz udziałów (4128 dol.) prenumeraty przyniosły 2956 dol., kolportaż 857 dol., ogłoszenia 1045 dol., fundusz prasowy (datki czyteln-

ników) 102 dol., łącznie 9088 dol. Na drukarnię wydaliśmy 5688 dol., na ekspedycję pisma 839 dol., na opłatę kierownika administracji 784 dol., na honoraria autorskie 541 dol., na prowizje dla przedstawicieli pisma 355 dol., na podatki 331 dol. i na inne wydatki kancelaryjno-administracyjne ok. 900 dol. Sprawozdanie podkreśliło, że ani redaktor naczelny, ani inni współpracownicy (prócz administratora) nie pobierali przez cały czas żadnych honorariów czy pensji i pracowali bezinteresownie. Pozostały dług w drukarni (drukowaliśmy w brooklyńskim „Czasie”) w wys. 318 dol. pokryli z własnej kieszeni członkowie zarządu. Żadnych innych zadłużeń nie było.

Pismo było przez cały czas dwutygodnikiem. Cieszyło się ono poczytnością i powodzeniem wśród tych, którzy rozumieli jego potrzebę, otrzymywaliśmy wiele słów zachęty i pochwały, ale ilość ludzi gotowych nam pomagać, jak zwykle wśród Polonii i emigracji, była za skromna. Reszta nie interesowała się ani nami, ani niczym innym oprócz ciułania dolarów. Analizując powody upadku pisma, stwierdzono na walnym zebraniu, że jedną z przyczyn jest „nieustabilizowana sytuacja polityczna i głęboki rozdzwitek wśród emigracji” (był to okres głośnego rozłamu na „legalistów” i „zjednoczeniowców”), następnie „brak zrozumienia i poparcia w szerokich rzeszach uchodźców”. Powiedziano jednak również, że „Sprawa Polska” spełniła dużą rolę, wpływając bezpośrednio na podniesienie poziomu pozostałej prasy polskiej w USA. Cokolwiek jednak na ten temat można było powiedzieć, pozostało faktem, że jeszcze raz wykazało się dowodnie, iż koncepcja utworzenia i utrwalenia w USA nowego pisma polskiego, i to opartego o założenia nowej, powojennej emigracji, tej szczególnie, która przeżyła II wojnę w kraju, nie ma żadnych szans. Po zlikwidowaniu „Sprawy Polskiej” nie podjęto już nigdy żadnej następnej, analogicznej, poważnej inicjatywy. Wiadomo bowiem, że nie ma ona żadnych perspektyw utrzymania się. Największą troską pozostało zachowanie stale, choć stopniowo likwidującej się dotychczasowej, starej prasy polonijnej<sup>6</sup>.

---

<sup>6</sup> Potwierdziło się to w całej rozciągłości w kilkunastu następnych latach. Upadł „Nowy Świat” w Nowym Jorku, zlikwidowano także „Ameryka Echo” — dziennik wychodzący w Bostonie, „Dziennik dla wszystkich” w Buffalo; w obecnej chwili ukazują się tylko trzy dzienniki polonijne: w Nowym Jorku, Chicago i w Detroit. Zmierzch prasy polonijnej w Stanach Zjednoczonych stał się niestety faktem. Komplet „Sprawy Polskiej” z Nowego Jorku znajduje się w Bibliotece Narodowej w Warszawie.